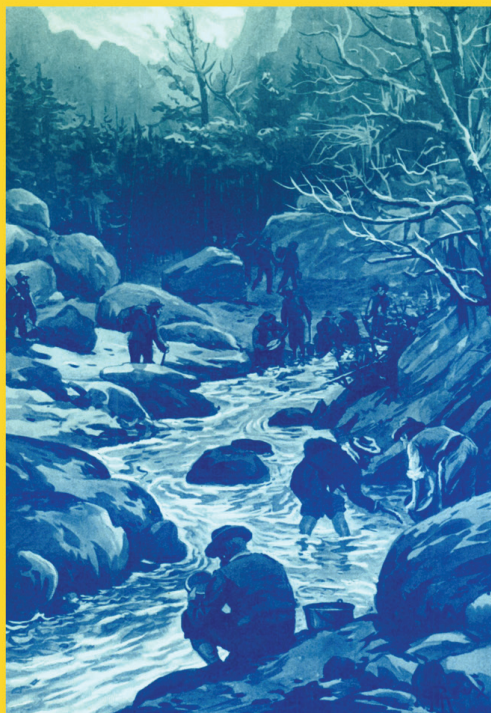




Juliusz Verne

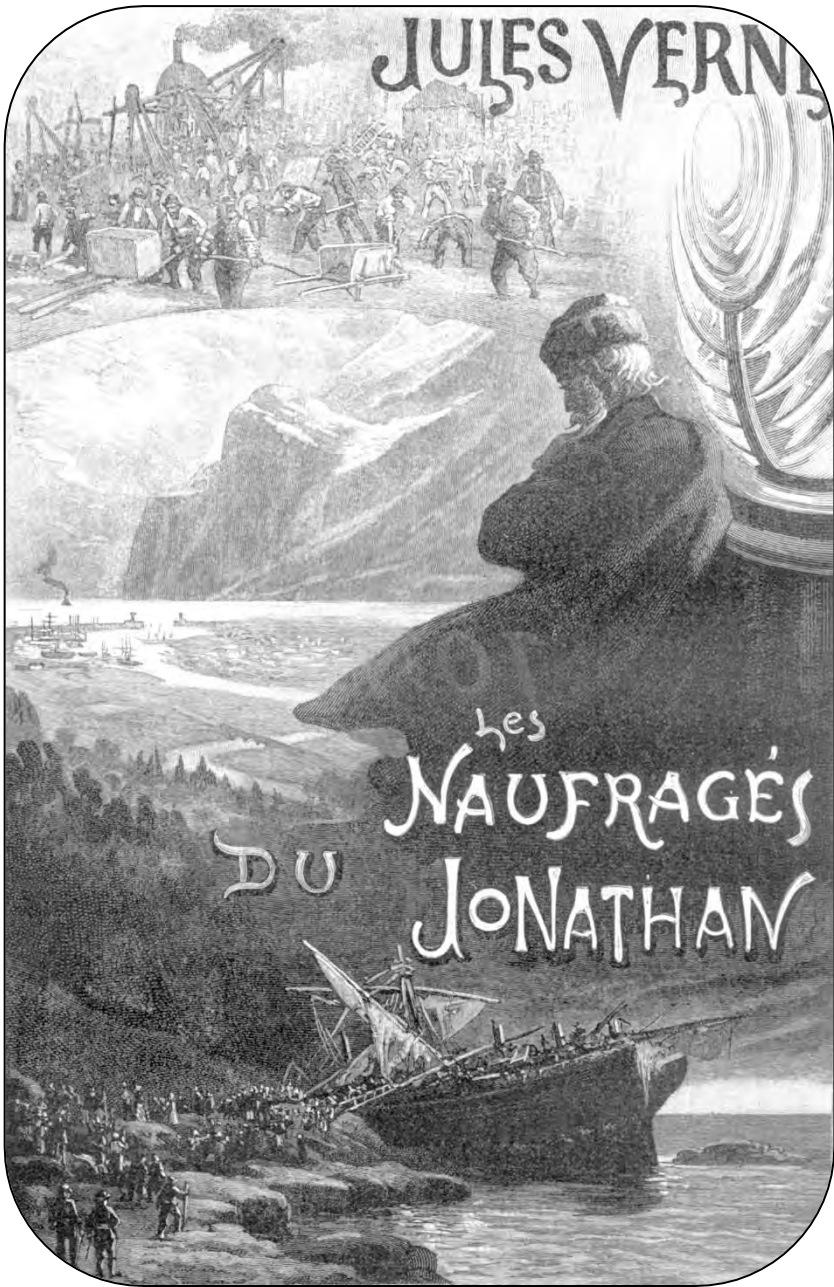
Rozbitkowie z „Jonathana” (Część druga)



ISBN 978-83-66268-16-6 (całość)

ISBN 978-83-66268-18-0 (cz. 2)

JULES VERNE



Les
NAUFRAGÉS
DU
JONATHAN

Juliusz Verne

**ROZBITKOWIE
Z „JONATHANA”**

Juliusz Verne



ROZBITKOWIE Z „JONATHANA”

Przełożyła Iwona Janczy

**Sześćdziesiąta ósma publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego: *Les naufragés du „Jonathan”*

© Copyright for the Polish translation
by Iwona Janczy, 2019

59 ilustracji, w tym 11 kolorowych: George Roux
(zaczerpnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Przypisy: Iwona Janczy, Andrzej Zydorczak
Korekta: Andrzej Zydorczak

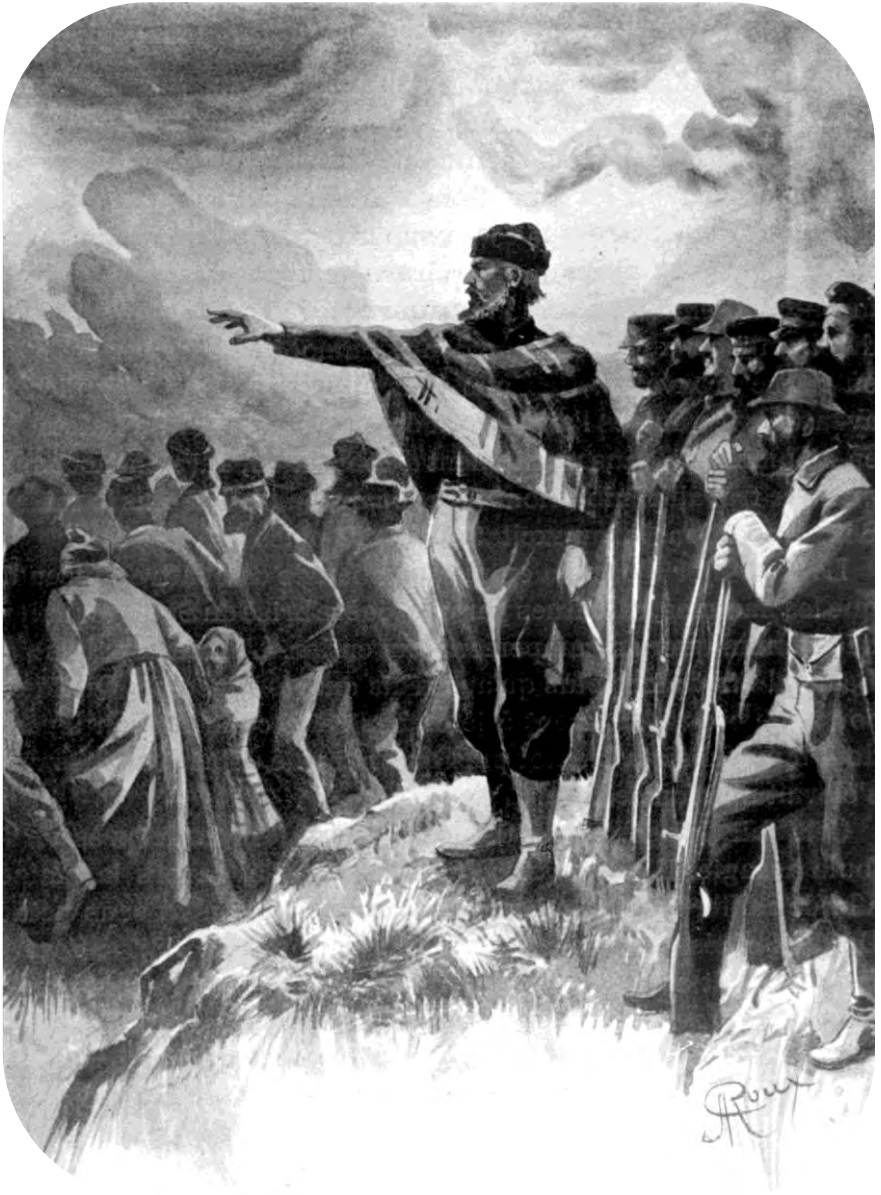
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© **Wydawca: JAMAKASZ**

Ruda Śląska 2019

ISBN 978-83-66268-16-6 (całość)
ISBN 978-83-66268-18-0 (tom drugi)



CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział I

Pierwsze zarządzenia

Kaw-djer na czele piętnastu ochotników szybkim krokiem przebył równinę. Wystarczyło im kilka minut na dojście do Liberii.

Na placu wciąż jeszcze trwała bójka, choć już nie z poprzednią zażartością, gdyż teraz nawet nie wiadano, o co poszło.

Przybycie małego uzbrojonego oddziałku wprawiło walczących w zdumienie, gdyż zupełnie się tego nie spodziewali. Wichrzyciele nawet przez chwilę nie przypuszczali, że ktokolwiek zdoła postawić tamę ich krwiożerczym instyktom. Walka natychmiast ustała. Ci, co zostali napadnięci i których bito, uciekli swoim oprawcom, ci, co zadawali razy, stanęli jak wryci, jedni nadal oszołomieni tym, co im się przydarzyło, drudzy zagubieni i zadyszani jak ludzie, którzy w momencie jakichś zawirowań wykonali kawał nieprzyjemnej roboty, ale jej celu sami nie rozumieli. W jednej chwili, bez żadnego etapu przejściowego, silne wzburzenie ustąpiło miejsca odprężeniu.

Kaw-djer zajął się najpierw ugaszeniem pożaru, którego płomień, podsycane lekkim południowym wietrzykiem, mogły zagrozić całemu obozowisku. To, co niegdyś było „pałacem” Beauvala, spłonęło w trzech czwartych. Wystarczyło kilka uderzeń kolbami, by lekka konstrukcja całkowicie runęła, zamieniając się w stos wypalonych szczątków, z których unosił się ciepki swąd.

Pozostawiwszy pięciu zbrojnych na straży tłumu zgromadzonego na placu, Kaw-djer z pozostałymi dziesięcioma towarzyszami udał się na równinę dla zebrania rozproszonych emigrantów. Nie sprawiło mu to zbytniego kłopotu, gdyż sami wracali ze wszystkich stron do Liberii. Zarówno tworzący awangardę zmęczeni napastnicy, którym złość już minęła, jak i napadnięci, ci nieco z dala, wciąż jeszcze przestraszeni, zbliżali się bojaźliwie. Dopiero na widok Kaw-djera

odzyskali rezon i przyspieszyli kroku, tak że do Liberii jedni i drudzy dotarli równocześnie.

W niecałą godzinę później cała ludność stolicy zgromadziła się na placu. Spoglądając na tę zwartą masę, na równe szeregi, jeden obok drugiego, aż trudno było sobie wyobrazić, że kiedykolwiek ludzie ci dzielili się na dwa wrogie stronnictwa. Gdyby nie ofiary ostatniej utarczki, leżące na ziemi, nie pozostałby żaden ślad po niedawnych rozruchach.

Tłum nie okazywał niecierpliwości, lecz opanowała go ciekawość. Wciąż zdumieni ludzie nie odrywali oczu od grupki piętnastu zbrojnych, która tak nieoczekiwanie zainterweniowała, i spokojnie czekali na dalszy rozwój wydarzeń.

Kaw-djer wysunął się na środek placu i patrząc na osadników, których spojrzenia kierowały się teraz ku niemu, oświadczył mocnym głosem:

– Od teraz ja jestem waszym przywódcą!

Jakąż drogę musiał przebyć, aby te kilka słów przeszło mu przez usta! Tak więc nie tylko zaakceptował zasadę autorytetu, nie tylko ją przyjął wbrew wcześniejszej odrazie, nie tylko stał się jej wyrazicielem, ale przeszedł z jednej skrajności do drugiej, jawiąc się jako absolutny autokrata. Bynajmniej nie zadowolili się wyrzeczeniem swego dotychczasowego ideału wolności, po prostu go zdeptał własnymi nogami! Nie obchodziła go nawet formalna aprobata tych, których przywódcą się ogłosił. Nie była to już nawet rewolucja, lecz zamach stanu!

Był to zamach stanu dokonany z zadziwiającą łatwością. Po krótkim oświadczeniu Kaw-djera na moment zapadła całkowita cisza, a potem rozlegała się burza okrzyków. Prawdziwy huragan oklasków, wiwatów i gromkich „hurra”! Ściskano sobie ręce, wzajemnie gratulowano, matki przyciskały do piersi dzieci. Był to wybuch szalonego entuzjazmu.

Zgromadzeni tu biedacy w jednej chwili przeszli od zwątpienia ku nadziei. Z chwilą, gdy Kaw-djer brał w swe ręce ich losy, byli ocaleni. Przecież to on najlepiej wiedział, jak ich wyciągnąć z biedy.

Jak...? Jakim sposobem...? Tym już sobie nikt głowy nie zawracał, ale i też nikt się tym nie zajmował. Nie było po co się martwić, skoro tego zadania podjął się Kaw-djer.

Jednakże znaleźli się tacy, którym to było nie w smak. Rozproszeni w wiwatującym tłumie zwolennicy Beauvala i Lewisa Doricka, choć sami nie wyrażali radości, to przecież nie ośmielili się na żaden inny gest niezadowolenia jak tylko milczenie. Cóż zresztą mogliby więcej zrobić? Teraz ich znikoma mniejszość musiała się liczyć z większością, odkąd ta zyskała wodza. To wielkie ciało o niezliczonych ramionach miało obecnie głowę i mózg, co sprawiało, że pogardzany dotychczas tłum stał się niebezpiecznym przeciwnikiem.

Kaw-djer uniósł dłoń. Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapadła cisza.

– Hostelianie – powiedział – by polepszyć naszą sytuację, niezbędne jest mi wasze absolutne posłuszeństwo. Liczę, że nikt z was nie zmusi mnie do użycia siły. Teraz niech każdy spokojnie wraca do siebie i czeka na instrukcje, które już niebawem zostaną wydane.

Ta zdecydowana i lakoniczna przemowa odniosła jak najlepszy skutek. Zrozumiano, że odtąd ktoś będzie nimi rządził i że wystarczy słuchać. Nic nie mogłoby bardziej pokrzepić nieszczęśników, którzy właśnie doświadczyli tragicznej konfrontacji z własną wolnością i z chęcią oddaliby ją za pewny kawałek chleba. Istotnie, wolność to wielkie dobro, lecz tylko wówczas, gdy jest się przy życiu. Teraz zaś jedynym pragnieniem zgromadzonego tu tłumu było po prostu przeżyć.

Posłuchano skwapliwie i bez szemrania. Plac w mgnieniu oka opustoszał i wszyscy, nawet Lewis Dorick, zgodnie z rozkazem zamknęli się w swoich domkach lub namiotach.

Kaw-djer śledził wzrokiem rozchodzący się tłum, a na jego ustach zawitał prawie niewidoczny grymas goryczy. Jeśli miał jeszcze jakieś złudzenia, to w tej chwili ostatecznie je utracił. Doprawdy istota ludzka wcale nie ma w wielkiej nienawiści nakładanego na nią przy-musu, jak to sobie wcześniej wyobrażał. Tyle uległości – prawie graniczącej z tchórzostwem! Nic z tego nie licowało z nieograniczoną wolnością!

Okolo setka kolonistów nie poszła jednak za przykładem pozostałych. Kaw-djer zwrócił się ze zmarszczoną brwią ku tym niepokornym. Natychmiast jeden z nich wyszedł przed szereg towarzyszy, by przemówić w ich imieniu. Jeśli nie odchodzili, by powrócić do swoich mieszkań, to jedynie dlatego, że ich nie posiadali. Wygnani ze swoich farm przez bandę rabusiów, dotarli na wybrzeże – jedni przed kilkoma dniami, a inni dopiero wczoraj – tak więc ich schronisko było pod gołym niebem.

Kaw-djer zapewnił ich, że szybko zajmie się ich losem, a tymczasem kazał im rozbić pozostałe w rezerwie namioty, i podczas gdy oni, usłuchawszy go, zajęli się tym, sam udał się pospiesznie do ofiar niedawnych zamieszek.

Było ich sporo, zarówno na całej równinie, jak i w okolicach obozu. Wyruszone natychmiast na ich poszukiwanie i wkrótce wszyscy zostali zniesieni do obozowiska. Ostatecznie okazało się, że rozruchy kosztowały życie dwunastu kolonistów, w tym trzech rabusiów, którzy śmierć znaleźli pod farmą Rivière'ów. W sumie nie było kogo żałować. Tylko jeden z zabitych należał do osadników, którzy powrócili zimą ze swoich gospodarstw, i mógłby być zaliczony do zdrowej części hosteliańskiej populacji. Co do pozostałych, to wszyscy należeli albo do klanu Beauvala, albo Doricka, tak więc zwolennicy ładu i pracy tylko na ich odejściu zyskali.

Największe straty ponieśli bowiem sami wichrzyciele, zażarci zarówno w ataku, jak i w obronie. Pośród ciekawskich z bezbronnego tłumu, na który tamci rzucili się tak bestialsko po podpaleniu „pałacu”, w zasadzie, prócz zabitego osadnika, o którym była mowa wyżej, dominowały tylko obrażenia – kontuzje, złamania, kilka ran od noża, jednak szczęśliwie nic z tego nie stało się przyczyną zagrożenia życia.

Uporanie się z tym również należało do Kaw-djera. Bynajmniej go to nie przerażało. Wiedział, co robi, podejmując się opieki nad tysiącem istnień ludzkich, i jakkolwiek nie było to łatwe zadanie, to wcale go nie przerastało.

Po zbadaniu – i tam, gdzie to było konieczne, opatrzeniu rannych – Kaw-djer odesłał ich do domów. Plac zupełnie opustoszał.



Bez chwili wytchnienia wrócili do Liberii i chodząc od drzwi do drzwi,
każdemu wręczali przynależną mu porcję.

Pozostawił na nim tylko pięciu ludzi na straży, a z dziesięcioma innymi powrócił do Nowego Miasta. Tam wzywał go inny obowiązek, ponieważ tam znajdował się umierający Halg, a być może już nawet martwy...

Halg wciąż pozostawał w tym samym stanie, nie brakowało mu umiejętnej opieki. Chcąc wesprzeć Karroly'ego, do łoża chorego dołączyła Graziella z matką i z całą pewnością na poświęcenie tych sanitariuszek można było liczyć! Zaprawiona w twardej szkole życia panna potrafiła zapanować nad własnym cierpieniem. Ze spokojną, jasną twarzą rzeczowo odpowiadała Kaw-djerowi na pytania. Halg – jak mówiła – miał już niewielką gorączkę, lecz nadal trwał w letargu, a podczas snu wydawał tylko od czasu do czasu słabe jęki. Na jego pobladłych wargach wciąż pojawiała się różowa piana, jednak już znacznie mniej obficie i nie aż tak przesycona krwią jak początkowo. Z pewnością był to pocieszający symptom.

W tym samym czasie dziesięciu ludzi, którzy towarzyszyli Kaw-djerowi, podjęło się rozdzielania żywności z zapasów Nowego Miasta. Bez chwili wytchnienia wrócili do Liberii i chodząc od drzwi do drzwi, każdemu wręczali przynależną mu porcję. Po rozdaniu żywności Kaw-djer wyznaczył nocne straże, potem zaś owinął się kołdrą, rozciągnął na ziemi i usiłował zasnąć.

Sen jednak nie nadchodził. Pomimo potwornego fizycznego zmęczenia jego uparty umysł nie przestawał pracować.

O kilka kroków od niego trwali nieruchomo niczym posągi dwaj strażnicy. Najlżejszy szmer nie zakłócał nocnej ciszy. Kaw-djer, wpatrzony w ciemność szeroko otwartymi oczami, śnił na jawie.

Cóż tutaj robił...?! Dlaczego pozwolił, żeby fakty zadały kłam jego przekonaniom i by to wszystko przysporzyło mu tyle cierpienia...? Nawet jeśli do tej pory żył sobie, hołdując błędnym przekonaniom, to przynajmniej był szczęśliwy... Szczęśliwy! A któż mu broni nadal takim pozostać? Wystarczyłoby, żeby zechciał... Cóż musiałby uczynić? Mniej niż nic... Wstać i odejść stąd, zapomnieć o całej okropnej awanturze, powrócić do swego wędrownego życia, które tak długo dawało mu tyle radości...

Niestety... ale czy teraz odnalazłby swoje rozwiane złudzenia? I jakie byłoby jego życie z nieustannymi wyrzutami sumienia, że tyle istnień ludzkich poświęcił w ofierze swym fałszywym bożkom...? Nie, ten tłum, za który wziął odpowiedzialność, musi krok po kroku doprowadzić szczęśliwie do spokojnej przystani. Był to winien sam sobie.

Zgoda! ale jaką drogę obrać...? Czy nie było już za późno? Czy ktoś taki jak on miał dość sił, by zawrócić ten lud z równi pochyłej, lud niejako predestynowany do samounicestwienia z powodu własnych przywar, złych przyzwyczajęń, miałkości intelektualnej i moralnej?

Kaw-djer na zimno oceniał ciężar, który podjął się udźwignąć. Przeanalizował swoje obowiązki i zastanawiał się nad najlepszymi sposobami, by im podołać. Uchronić tych ludzi od śmierci głodowej... Tak. To przede wszystkim. Ale to najdrobniejsza sprawa wobec całokształtu przyszłego dzieła. Życ to nie tylko zaspokajać potrzeby materialne swych życiowych organów, to znacznie więcej, a może nawet przede wszystkim być świadomym swej ludzkiej godności. To oznacza liczyć na siebie samego, a także poświęcać się dla innych, to oznacza być silnym, być dobrym. Po ocaleniu żyjących od śmierci trzeba było jeszcze zrobić z nich ludzi.

Czyż byli oni zdolni, aby wznieść się ku ideałowi? Z całą pewnością nie wszyscy, jednak niektórzy – tak, wystarczy im wskazać jaśniejącą na firmamencie gwiazdę, której sami by nie dostrzegli, wystarczy ich poprowadzić za rękę do celu.

W taki sposób Kaw-djer rozmyślał nocą. Obalał jedną po drugiej wcześniejsze wątpliwości, przełamywał własne opory i z wolna w jego umyśle powstawał plan działania, któremu odtąd zamierzał podporządkować wszystkie swe czyny.

Świt zastał go już na nogach. Nim wyszedł z Nowego Miasta, upewnił się wcześniej z radością, że stan Halga choć minimalnie, to jednak się poprawił. Potem zaś udał się do Liberii, gdzie natychmiast wszedł w rolę szefa.

Jego pierwsza decyzja zdumiała nawet tych, którzy bardzo dobrze go znali. Zaczął od zwołania dwudziestu czy dwudziestu pięciu murarzy i stolarzy wchodzących w skład kolonii, a następnie, przy-

dzieliwszy im dwudziestu pomocników przywykłych do pracy łopata i motyką, każdemu wyznaczył konkretną pracę. W miejscu, które wskazał, trzeba było zostawić pustą przestarzałą na wstawienie ścian przenośnego domku, który miał się tutaj wznosić. Po postawieniu domku murarze mieli wzmocnić jego ściany podmurówkami oraz podzielić wewnątrz przegrodami, zgodnie z planem, który został wyrysowany na ziemi. Wydawszy instrukcje, podczas gdy robotnicy ruszyli z pracą pod nadzorem cieśli Hobarta awansowanego do roli majstra, Kaw-djer z eskortą dziesięciu ludzi poszedł do pobliskiego domku.

Niedaleko stał największy z przenośnych domków. Mieszkało w nim pięć osób. W towarzystwie braci Moore'ów, Sirdeya i Kennedy'ego wybrał go na swą siedzibę Lewis Dorick. Kaw-djer poszedł prosto tam.

W chwili gdy wszedł, pięciu mężczyzn zawzięcie o czymś rozprawiało. Na jego widok poderwali się na równe nogi.

– Cóż pan tu robisz? – zapytał go nieuprzejmym tonem Lewis Dorick.

Kaw-djer od progu odpowiedział mu chłodno:

– Kolonia hosteliańska potrzebuje tego domu.

– Potrzebuje tego domu...! – powtórzył Lewis Dorick, który jak to się mówi, nie wierzył własnym uszom. – A niby do czego?

– By tu ulokować swoje urzędy. Proszę panów o natychmiastowe opuszczenie go.

– Jak to?! A my gdzie się mamy podziać? – ironizował Dorick.

– Gdzie wam się podoba. Nikt wam nie broni, żebyście sobie zbudowali nowy dom.

– Doprawdy...! A tymczasem?

– Dostaniecie do swojej dyspozycji namioty.

– A ja mam w nosie pańskie rozporządzenia! – krzyczał czerwony z gniewu Dorick.

Kaw-djer usunął się, odsłaniając tym sposobem stojącą na zewnątrz uzbrojoną eskortę.

– W takim razie – powiedział zdecydowanie – będę zmuszony użyć siły.

Lewis Dorick od jednego rzutu okiem zrozumiał, że wszelki opór byłby zbyteczny. Natychmiast spokorniał.

– Dobrze, już dobrze – burknął. – Dajcie nam tylko chwilę na zabranie naszych rzeczy, bo rozumiem, że możemy zabrać...

– Nic z tego – przerwał mu Kaw-djer. – Rzeczy osobiste zostaną wam wręcone. Cała reszta to własność kolonii.

Tego było za wiele. Rozwścieczony Dorick zapomniał o ostrożności.

– To jeszcze zobaczymy! – wykrzyknął, sięgając ręką za pas.

Jednak zanim wyciągnął nóż z pochwy, już został rozbrojony. Bracia Moore rzucili mu się na pomoc. Większy z nich, ucapiony za gardło przez Kaw-djera, zwałił się na podłogę. W tej samej chwili obstawa nowego przywódcy wtargnęła do wnętrza. Pięciu emigrantów przywołanych do porządku zrezygnowało z walki. Nie opierając się więcej, wyszli z domku.

Odgłosy sprzeczki przyciągnęły grupkę ciekawskich, którzy tłoczyli się pod drzwiami. Pokonani musieli torować sobie drogę wśród pospólstwa, nad którym jeszcze tak niedawno panowali. Sytuacja diametralnie się zmieniła. Powitano ich szyderczymi okrzykami.

Kaw-djer, wspomagany przez swych towarzyszy, przeprowadził szybką rewizję domku, w którego posiadanie wszedł. Tak jak obiecał, wszystkie przedmioty, które można było uznać za osobiste, zostały odłożone na bok do późniejszego zwrotu. Jednak prócz tego natrafili na więcej niż interesujące znaleziska! Jedno z najdalszych pomieszczeń zostało zamienione w prawdziwą spiżarnię. Zgromadzono w niej okazałe zapasy żywności. Konserwy, suszone warzywa, suszone mięso, herbata i kawa, wszystkie te zapasy były tyleż obfite, co i przemyślnie dobrane. Jakim sposobem Lewis Dorick i jego akolici zdobyli to wszystko? Jakikolwiek był to sposób, jedno nie ulegało wątpliwości: żaden z nich nigdy nie musiał cierpieć powszechnego w kolonii głodu. To zresztą nie powstrzymało ich od występowania z pretensjami większymi niż pozostali oraz siania zamętu, który stał się powodem upadku Beauvala.

Kaw-djer kazał przenieść te zapasy na plac, gdzie je złożono pod ochroną strzelb, potem zaś wezwani wcześniej robotnicy pod nadzorem ślusarza Lawsona, podniesionego do rangi majstra, zabrali się do rozebrania domku.

Podczas gdy ta robota wrzała, Kaw-djer w towarzystwie kilku osób z obstawy odbył szereg „domowych wizyt”, przeczesując w ten sposób cały obóz, i nie ustał, póki nie sprawdził wszystkich siedzib. Domki i namioty zostały przekopane od dołu do góry. Przeszukania te, które zresztą zajęły im cały dzień, przyniosły nieoczekiwane rezultaty! U wszystkich emigrantów mniej lub ściślej powiązanych z Lewi-sem Dorickiem i Fernandem Beauvalem, a także u kilku innych, którzy na własną rękę oszczędzali podczas dni dostatku, odkryto podobne skrytki jak ta, którą już wcześniej znaleziono w pierwszym domku.

Zapewne dla uniknięcia podejrzeń ich właściciele bynajmniej nie byli ostatni w ubolewaniach na brak pożywienia. Kaw-djer rozpoznał pośród nich i takich, którzy błagali go o pomoc i którzy bez skrupułów ją przyjmowali, choć tym sposobem pozbawiali żywności mieszkańców Nowego Miasta. Zdemaskowani, byli teraz mocno zażenowani, choć Kaw-djer najmniejszym gestem nie okazywał, jakie uczucia wzbudzała w nim ich chytryść.

Jednak to postępowanie otwierało mu oczy na naturę nieuchronnych praw rządzących ludzkością. Przymykając oczy na okrzyki rozpacz swych głodujących towarzyszy niedoli, hipokryci dołączali także swoje lamentsy, tylko po to, by uniknąć podziału własnych zapasów. Ludzie ci kolejny raz pokazali, jak działa okrutny egoistyczny instynkt dążący do zachowania za wszelką cenę jednostki. Doprawdy postępowaliby tak samo, gdyby nie byli istotami obdarzonymi rozumem i uczuciami, lecz jedynie zbitką materii ślepo posłusznej potrzebom fizjologii pierwszej i jedynej komórki, z jakiej powstali.

Ale Kaw-djer nie potrzebował już więcej dowodów na mylność swych wcześniejszych przekonań, a niestety nie były to wcale ostatnie z długiego szeregu dowodów na „nie”. Jego wspaniałe marzenia runęły z hukiem, a w sercu pozostała mu po nich męcząca pustka. Nie marzył nawet, by zdołał je wskrzesić. Wymowna brutalność faktów dowiodła, jak bardzo się mylił. Zrozumiał, że wymyślając swoją doktrynę, postąpił nie jak uczonec, lecz jak filozof, i że tym sposobem zgrzeszył przeciwko duchowi nauki, która nie pozwala sobie na przypadkowe domniemania, lecz opiera się na czystej i obiektywnej analizie faktów. Otóż cnoty i przywary ludzkości, jej wielkość i słabość,

jej potężna różnorodność są faktami, które trzeba umieć rozpoznać i z którymi należy się liczyć.

Poza tym, czy nie popełnił podstawowego błędu w rozumowaniu, potępiając *en bloc* wszystkich władców – pod pretekstem ich niedoskonałości – i zakładając, że naturalna doskonałość człowieka czyni wszelką władzę zbędną?! Tymczasem czy ci możni, dla których był tak surowy, nie są też ludźmi jak pozostali? Dlaczego tylko oni mieliby stanowić niedoskonałe wyjątki? Czy przypadkiem ich niedoskonałość nie pozwala wyciągnąć logicznego wniosku o niedoskonałości wszystkich innych i tym sposobem przyznać, że istnieje coś takiego jak potrzeba nałożenia praw oraz konieczność misji ich egzekwowania przez wybranych?

Jego słynna dewiza rozpadała się i rozsypała w proch. „Ni Boga, ni pana” – głosił niedawno, a teraz zmuszony był przyznać potrzebę pana. Tak więc z drugiego członu jego hasła nie pozostało zgoła nic, kompromitacja zaś drugiej części podważała i pierwszą. Bez wątpienia nie doszedł jeszcze do tego, by dotychczasowe zaprzeczenie zamienić na afirmację. Ale przynajmniej poznał już szlachetną niepewność uczonego, który stając przed nierozwiązywalnym w danej chwili problemem, przynajmniej zatrzymuje się u progu nieznanego i ocenia, wbrew samej istocie wiedzy, że niczego nie można przyjmować bez dowodów i że w świecie jest wyłącznie materia podlegająca określonym prawom. Zrozumiał, że w tego rodzaju zagadnieniach oczekiwanie jest konieczną ostrożnością, i że jeżeli każdemu przysługuje prawo osobistego tłumaczenia tajemnicy wszechświata, to wygłaszanie jakichkolwiek twierdzeń kategorycznych jest albo zarozumiałością, albo głupotą.

Największego odkrycia dokonano w chałupinie Irlandczyka Pattersona, w której mieszkał on z Longiem po śmierci drugiego ze współtowarzyszy. Domek poddano rewizji z obowiązku, gdyż był tak mały, że trudno byłoby sobie wyobrazić w nim miejsce na kryjówkę. Jednak przemyślny Patterson zaradził szczupłości swego lokum, wygrzebując coś w rodzaju piwniczki, którą ukrył pod deskami podłogi.

Imponująca była przede wszystkim ilość zgromadzonych tam zapasów, która bez problemu starczyłaby na wyżywienie całej osady

przez okres tygodnia. Nagromadzenie tej żywności posiadało tragiczną wymowę, gdy przypomniano sobie o nieszczęsnym Blakerze, zmarłym z głodu wśród wszystkich tych dostatków. Kaw-djerem wstrząsnął dreszcz zgrozy na myśl o potwornej duszy Pattersona, który pozwolił na rozgrywający się pod jego dachem dramat.

Tymczasem Irlandczyk nawet w najmniejszym stopniu nie poczuwał się do winy. Przeciwnie, arogancko i energicznie protestował przeciwko grabieży, której stał się ofiarą. Kaw-djer długo i cierpliwie tłumaczył mu obowiązek każdego do współdziałania dla dobra ogółu. Patterson nie chciał o niczym słyszeć. Nie większy skutek odniosła groźba użycia siły. Nie udało się go onieśmielić, jak to zrobiono z Lewisem Dorickiem. Obstawę nowego szefa miał za nic. Kutwa broniłby swego dobra nawet wbrew całej armii! Wszystko to było jego własnością, zapasy zbierane kosztem niezliczonych osobistych wyrzeczeń. Ograniczenia nałożył na siebie nie w imię dobra ogółu, które mu narzucano, lecz swego własnego, osobistego... Jeśli rzeczywiście ma zostać pozbawiony tego dobra, trzeba mu wypłacić pieniężną rekompensatę.

Argumentacja ta niegdyś wzbudziłaby u Kaw-djera tylko śmiech. Dziś jednak dała mu do myślenia. W sumie Patterson miał rację. Jeżeli miał zdobyć zaufanie rozczarowanych Hostelian, musiał przywrócić znaczenie prawom, do których poszanowania byli przyzwyczajeni. Otóż pierwszym prawem, uświęconym jednogłośnie za zgodą wszystkich narodów kuli ziemskiej, było prawo własności.

Dlatego Kaw-djer wysłuchał cierpliwie obrończej tyrady Pattersona i dlatego zapewnił go, że nie chodzi tu o żaden rabunek, gdyż wszystko, co zostało zarekwirowane dla dobra ogółu, zapłacone będzie stosownie do swej wartości przez wspólnotę. Skąpiec natychmiast przestał protestować, ale za to zaczął jęczeć. Wszystkie te produkty były tak rzadkie, a przez to tak drogie na Wyspie Hoste'a! Najdrobniejsza rzecz miała tu nieocenioną wartość! Zanim doszli do porozumienia, Kaw-djer długo musiał się z nim targować o kwotę, którą miano mu wypłacić. Gdy wreszcie przyszło do ugody, Patterson sam zabrał się do przenoszenia towarów.



Imponująca była przede wszystkim ilość zgromadzonych tam zapasów, która bez problemu starczyłaby na wyżywienie całej osady.

Około szóstej wieczorem wszystkie odnalezione produkty zostały złożone na głównym placu. Przedstawiały wcale okazałą przyzę! Kaw-djer ocenił je jednym rzutem oka, a dodawszy w myśli jeszcze i to, co pozostało w Nowym Mieście, uznał, że przy ścisłym racjonowaniu wystarczy ich na jakieś dwa miesiące.

Natychmiast też przystąpiono do pierwszego rozdziału. Emigranci jeden po drugim przechodzili rzędkiem i każdy z nich otrzymywał należną mu porcję dla niego samego oraz dla rodziny. Nie mogli wyjść ze zdumienia na widok podobnego nagromadzenia bogactw, podczas gdy już im się zdawało, że są w przededniu śmierci głodowej. Wszystko to zakrawało na cud, którego sprawcą był Kaw-djer!

Gdy tylko zakończono rozdzielanie żywności, Kaw-djer wraz z Harrym Rhodesem powrócili do Nowego Miasta, gdzie udali się prosto do Halga. Tam z radością stwierdzili, że w stanie chorego pod stałą opieką Tullii i Grazielli nastąpiła poprawa.

Kaw-djer, uspokojony przynajmniej z tej strony, ze stanowczym uporem wrócił do wykonywania planu, który obmyślił sobie podczas długiej bezsennej nocy. Odwrócił się ku Harry'emu Rhodesowi i obwieścił poważnym głosem:

– Nadeszła pora, abyśmy porozmawiali, panie Rhodes. Proszę łaskawie za mną...

Poważny, wręcz bolesny wyraz jego twarzy, uderzył Harry'ego Rhodesa, usłuchał więc w milczeniu. Obaj zniknęli za drzwiami pokoju Kaw-djera, zaryglowawszy je za sobą starannie na zasuwkę.

Godzinę później drzwi się otworzyły, jednak nic z tego, co zostało powiedziane podczas tej rozmowy, przez nie się nie przedostało. Kaw-djer wyszedł ze swą zwyczajną miną, być może nawet jeszcze chłodniejszą, za to Harry Rhodes wprost kipiał radością. Skłonił się z wielkim uszanowaniem przed gospodarzem, który odprowadził go do progu domu, a na pożegnanie ścisnął długo i gorąco podaną mu dłoń. Na odchodnym zaś powiedział:

– Proszę na mnie liczyć.

– Liczę – odparł Kaw-djer i długo spoglądał za oddalającym się w mrok nocy przyjacielem.

Gdy Harry Rhodes zniknął, nadeszła kolej na Karroly'ego.

Kaw-djer wziął go na stronę i udzielił mu jakichś instrukcji, których Indianin wysłuchał ze zwykłym sobie uszanowaniem. Potem, niezmordowany, po raz ostatni tego dnia przemierzył równinę i jak poprzedniego wieczora poszedł spać na placu w Liberii.

To właśnie on nazajutrz o świcie dał sygnał do pobudki. Wkrótce wszyscy osadnicy, których wezwał, zgromadzili się na placu.

– Hostelianie! – powiedział pośród ogólnego milczenia. – Ustalamy, że po raz ostatni wydzielono wam żywność. Od teraz będzie ona sprzedawana po cenach, które ustalę na korzyść państwa. Nikomu nie zabraknie pieniędzy, nikt też nie musi się obawiać śmierci głodowej. Osada potrzebuje rąk do pracy. Każdy z was, który zgłosi się do pracy, zostanie zatrudniony i opłacony. Od tej chwili praca staje się prawem.

Oczywiście nie udało się wszystkim zadowolić i ta „krótka przemowa” niektórym wyraźnie się nie spodobała. Jednak większość dorosłych po prostu zelektryzowała. Podnieśli głowy, wyprostowali plecy, zupełnie jakby wstąpiła w nich jakaś nowa siła. Wreszcie mogą wyjść z bezczynności! Są potrzebni! Na coś się przydadzą! Nie byli już zbędni. W jednej chwili odnaleźli zarówno sens pracy, jak i życia.

Ze wszystkich piersi wyrwało się jedno gromkie „hurra!” i w stronę Kaw-djera podniósł się las umięśnionych ramion gotowych do czynu.

W tej samej chwili niczym w odpowiedzi na zawołanie tłumu doszło ich z oddali słabe wołanie.

Kaw-djer odwrócił się i dostrzegł na morzu „Wel-Kiej” z Karolym u steru. Na dziobie stał Harry Rhodes, który machał w pożegnalnym geście, podczas gdy łódź pod pełnymi żaglami oddalała się w blasku słońca.



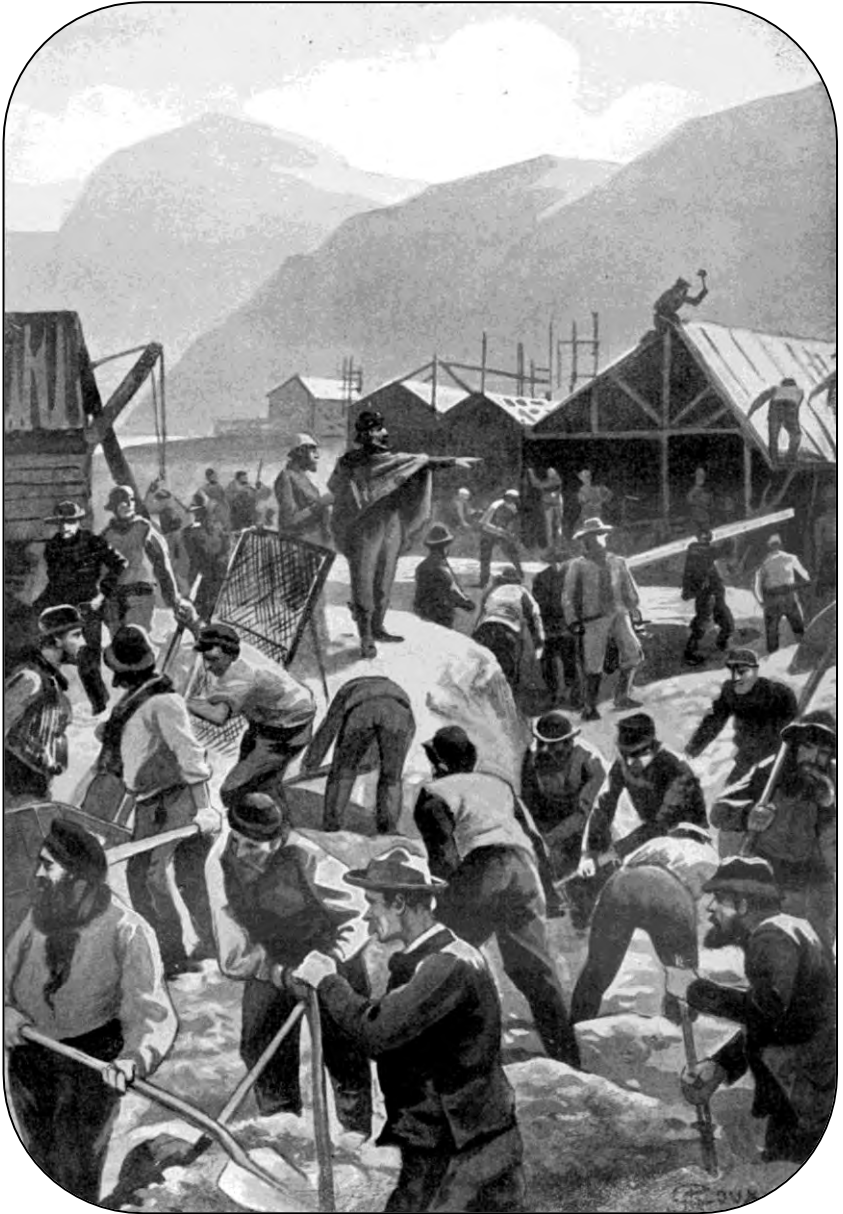
Rozdział II

Rodzące się miasto

Kaw-djer natychmiast zarządził roboty. Wszyscy, którzy się do nich zgłosili – a była to, powiedzmy jasno, zdecydowana większość kolonistów – zostali przyjęci. Podzieleni na ekipy pod komendą majstrów, jedni ruszyli z budową drogi jezdnej, która połączyłaby Liberię z Nowym Miastem, inni zostali przydzieleni do przenoszenia składanych domków, które do tej pory umiejscowione były bez ładu i składu, teraz zaś miały zostać rozstawione według logicznego planu. Kaw-djer wskazał ich nowe lokalizacje, jedne równoległe, inne prostopadłe w stosunku do dawnego domu Doricka, który teraz coraz to nabierał kształtu mniej więcej na miejscu zajmowanym wcześniej przez „pałac” Beauvala.

Jednak prawie natychmiast wyniknęła trudność w postaci braku odpowiednich narzędzi do tych różnorodnych zajęć. Emigranci, którzy z takich czy innych powodów musieli opuścić swe farmy w głębi wyspy, nie zadali sobie trudu, by przynieść je z powrotem do obozowiska. Siłą rzeczy najpierw musieli się po nie udać, tak więc dla większości robotników pierwszym zadaniem było zaopatrzenie się w potrzebne do pracy narzędzia.

Musieli zatem kolejny raz pokonać drogę, którą przeszli z takim mozołem, szukając schronienia w Liberii. Ponieważ jednak okoliczności były zupełnie inne, wcale nie wydawała im się taka straszna. Surową zimą zastąpiła wiosna, nie brakowało im jedzenia, a po powrocie czekała ich pewna perspektywa płatnego zajęcia, tak więc wyruszyli z radosnym sercem. Nawet maruderzy powrócili w ciągu dziesięciu dni i wszystkie prace ruszyły pełną parą. Droga rosła w oczach. Harmonijne rozplanowane domki pogrupowane pośrodku pustych przestrzeni, które w przyszłości miały służyć jako ogródki, rozdzielały szerokie aleje nadające Liberii miejski wyraz w miejsce dotychczas-



Nawet maruderzy powrócili w ciągu dziesięciu dni
i wszystkie prace ruszyły pełną parą.

sowego – tymczasowego obozowiska. W tym samym czasie zbierano odpadki i nieczystości pozostawione przez niedbałych mieszkańców, którzy pozwolili, by te się nagromadziły.

Dawny dom Doricka, który zaczęto wznosić jako pierwszy, był też pierwszym gotowym lub prawie gotowym do zamieszkania. Zresztą nie potrzebowano wiele czasu na rozmontowanie tej lekkiej budowli, a następnie złożenie jej na nowym miejscu, choć równocześnie znacznie ją powiększono. Bez wątpienia nie była całkowicie ukończona, lecz jej ściany zostały już solidnie wpuszczone w ziemię, gotowy był dach, a nawet wszystkie wewnętrzne ściany działowe. Żeby zamieszkać w tym domu, nie trzeba było czekać na ukończenie zewnętrznych podmurowań.

Siódmego listopada Kaw-djer wziął ten budynek w swoje posiadanie. Jego plan był najprostszy z możliwych. W samym środku znajdował się magazyn, w którym obecnie złożono zapasy żywności, otaczały go zaś przechodnie izby. Wychodziły one kolejno na fasadę północną, wschodnią i zachodnią, tylko zaś jedna z nich, po stronie południowej, nie miała bezpośredniego wyjścia na zewnątrz i można się było do niej dostać tylko przez pozostałe.

Na drewnianych deskach wymalowano przeznaczenie tych sal, były to kolejno północna, zachodnia i wschodnia: Rząd, Trybunał, Policja. Co do ostatniego pomieszczenia, to nie oznakowano jego przeznaczenia, lecz wkrótce poczęła krążyć pogłoska, że tam znajdzie się więzienie.

Tak więc Kaw-djer nie polegał już jedynie na mądrości bliźnich, ale dla wzmocnienia powagi władzy oparł ją na trójnogu: Sprawiedliwości, w społecznym znaczeniu tego słowa, Siły i Kary.

Jego długa i bezpłodna rewolta skończyła się zastosowaniem dokładnie tego, co tak mu się nie podobało, zasad, poza którymi od zarania dziejów niedoskonała ludzkość nie potrafiła stworzyć ani cywilizacji, ani żadnego postępu...

Jednak wyznaczenie pomieszczeń wraz z tabliczkami, które informowały o ich przeznaczeniu, stanowiło tylko zrab administracji. Teraz potrzebni byli urzędnicy, którzy sprawowaliby określone funk-

cje. Kaw-djer wyznaczył ich bezzwłocznie. Hartlepool został postawiony na czele policji złożonej z czterdziestu starannie wybranych ludzi, wyłącznie żonatych. Co zaś do sądu, to Kaw-djer zawarował sobie osobiste mu przewodniczenie, jednak bieżącą obsługę trybunału powierzył Ferdinandowi Beauvalowi.

Z całą pewnością powołanie to mogło zadziwić. Jednak nie była to jedyna tego rodzaju nominacja, gdyż kilka dni wcześniej Kaw-djer dokonał bardzo podobnej, nie mniej zdumiewającej.

Już w tym momencie wypłata zarobków i sprzedaż żywności stała się bardzo absorbującym zajęciem. Wymiana pracy na pożywienie, choć ułatwiona dzięki pośrednictwu pieniędzy, wymagała rzetelnych rachunków, i to rachunków prowadzonych przez zawodowego rachmistrza. Kaw-djer mianował na tę funkcję Johna Rame'a, tego samego, którego rozrywkowy tryb życia kosztował tyleż utratę zdrowia, co i fortuny. W jakim celu w ogóle podobny degenerat wziął udział w wyprawie kolonizacyjnej? Zapewne sam tego dobrze nie wiedział, lecz powodował się nieokreślonym impulsem, wyobrażając sobie łatwą egzystencję w jakiejś nieokreślonej i fantastycznej krainie. Rzeczywistość okazała się o wiele cięższa do zniesienia, zwłaszcza zimy na Wyspie Hoste'a, i chyba tylko cudem ten słabowity osobnik je przetrwał. Zmuszony koniecznością, na próżno starał się od początku ustanowienia nowych zasad pracować wraz z budowniczymi drogi. Zaraz pierwszego dnia musiał zrezygnować, przepracowany, upadający ze zmęczenia, z delikatnymi białymi dłońmi poranionymi do krwi o skały i kamienie. Z radością przyjął wyznaczone mu przez Kaw-djera zajęcie, do tego stopnia, że oddał mu się całym swym małym wyrazistym jestestwem, nieomal dał się żywcem pogrzebać w kolumnach cyfr, tak że prawie o nim więcej nie słyszano.

Umiejętność spożytkowania dla wzrostu państwa wszystkich, aż po najmniejszą z sił społeczeństwa, jaką ma do dyspozycji, jest być może największą z zalet przywódcy. Wobec niepodobieństwa podolaniamu samemu we wszystkich sprawach, musi on z konieczności otoczyć się współpracownikami, i to właśnie w ich umiejętnym doborze objawia się najoczywistej geniusz zwierzchnika.

Decyzje Kaw-djera w doborze urzędników, jakkolwiek zdawałyby się osobliwe, to w położeniu, jakie zgotował im los, były najlepsze. Przyświecał mu jeden cel – by każda z tych osób oddała dla dobra ogółu maksimum swoich sił i zdolności. Na przykład Beauval, który okazał się pod jakimś względem całkowitym nieudacznikiem, nie przestawał z tego powodu być dobrym adwokatem. Tak więc bardziej niż ktokolwiek inny posiadał kwalifikacje do prowadzenia trybunału, zwłaszcza pod okiem zwierzchnika, który potrafiłby poskromić jego ewentualne narowy i nierealne pomysły.

Jeśli chodzi o Johna Rame'a, to był on najbardziej bezużyteczny spośród wszystkich kolonistów. Pozostaje więc tylko podziwiać pomysł Kaw-djera, któremu udało się zagospodarować tego osobnika pozbawionego woli i energii, wcześniej do niczego niezdolnego.

Podczas gdy tak oto organizowała się administracja hosteliańskiego państwa, Kaw-djer ze swej strony nie zaprzestawał ożywionej działalności.

Definitywnie opuścił Nowe Miasto. Jego przybory, książki, lekarstwa przeniesiono do budynku „Rządu” – jak nazywano teraz dawny dom Lewisa Doricka. Tam właśnie Kaw-djerowi udawało się złapać codziennie choć kilka godzin snu. Pozostały czas spędzał w ruchu – był naraz wszędzie. Dodawał otuchy robotnikom, rozwiązywał bieżące problemy w miarę, jak się pojawiały, ze spokojem, ale i stanowczością podtrzymywał ład i porządek. Nikt nie ośmieliłby się mu sprzeciwić ani wszczynać w jego obecności awantur. Wystarczyło, że się pojawiał, a wszelkie prace ruszały pełną parą, wszystkie mięśnie napinały się w najwyższym wysiłku.

Zapewne większość osobników spośród tego nieszczęsnego ludu, który zgodził się poprowadzić ku lepszemu życiu, nie zdawała sobie zupełnie sprawy, że świadomość tego człowieka stała się teatrem dramatycznych rozterek, których żaden z nich nawet by nie podejrzewał. Nie byli w wystarczającym stopniu psychologami, ideały były im obce, stąd nawet nie przypuszczali, jak wielkie spustoszenie poczynił w jego umyśle ów całkowicie abstrakcyjny konflikt, tak odmienny od ich trosk materialnych. Wystarczyłoby tylko przyjrzeć

się z uwagą swemu szefowi, by pojąć, że trawi go ukryty ból. Choć Kaw-djer nigdy nie należał do osób specjalnie okazujących emocje, to teraz jego twarz zdawała się wykuta w marmurze. Nieruchoma, bez uśmiechu. A jego wargi zaledwie się uchylały podczas wypowiedzania niezbędnego minimum słów. Być może właśnie z tego powodu, w połączeniu z jego wręcz herkulesową siłą oraz uzbrojeniem, którym dysponował, postrzegany był jako niezmiernie groźny. Ale w równym stopniu jak się go bano, podziwiano jego inteligencję, energię, kochało go za dobroć, głęboko skrytą pod zimnym sposobem bycia, za wszystkie przysługi, które im wyświadczył i nadal wyświadczał.

Mnogość zajęć bynajmniej go nie przerastała, a to, że zajął się zarządzaniem, w niczym nie umniejszyło jego działalności jako lekarza. Wciąż każdego dnia odwiedzał chorych i rannych po rozruchach. Miał zresztą w tym względzie coraz mniej do roboty, a to z trzech powodów – cieplej pory roku, moralnego spokoju i ustalonego rytmu pracy, dzięki którym zdrowie publiczne w osadzie szybko się poprawiało.

Rzecz jasna spośród wszystkich chorych i rannych Halg był najbliższy jego sercu. Bez względu na pogodę i zmęczenie każdego poranka i wieczora stawiał się przy łożu młodego Indianina, gdzie nieustannie czuwały Graziella i jej matka. Z radością zauważał u rannego stałą poprawę. W końcu było już pewne, że rana na płucu zaczyna się goić. Piętnastego listopada Halg nareszcie mógł się podnieść z łóżka, na którym leżał prawie od miesiąca.

Tego dnia Kaw-djer udał się do domu zamieszkałego przez rodzinę Rhodesów.

– Dzień dobry, pani Rhodes, dzień dobry dzieci – powiedział, wchodząc.

– Dzień dobry, Kaw-djerze! – odpowiedziano mu chórem.

W serdecznej atmosferze tego domu Kaw-djer zawsze tracił nieco ze zwyczajnego sobie chłodu. Edward i Clary cisnęli się ku niemu. Po ojcowsku objął dziewczynkę i pogłaskał po policzku chłopca.

– Nareszcie pan do nas przyszedł, Kaw-djerze! – zwołała pani Rhodes. – Myśleliśmy, że już pana nie ma pomiędzy żywymi!

– Miałem bardzo dużo do roboty, pani Rhodes.

– Wiem, Kaw-djerze, i rozumiem – rzekła pani Rhodes. – Wszystko jedno... cieszę się, że pana widzę. Mam nadzieję, że przyniósł mi pan jakieś wiadomości od mojego męża.

– Pani mąż wyjechał, pani Rhodes... i to wszystko, co mogę powiedzieć.

– Wielkie dzięki za taką informację...! Pozostaje tylko się dowiedzieć, kiedy wróci...

– Niezbyt prędko, pani Rhodes. Pani przymusowe wdowieństwo jeszcze potrwa...

Kobieta westchnęła smutno.

– Proszę się nie smucić, pani Rhodes – powiedział Kaw-djer. – Przy odrobinie cierpliwości wszystko się ułoży... Zresztą przychodzę do pani z pomysłem zajęcia, co oznacza, że będzie pani miała także rozrywkę. Przeprowadzi się pani, pani Rhodes...

– Przeprowadzi!?

– Tak... zamieszka pani w Liberii.

– W Liberii...! Cóż miałabym tam robić?

– Zajmie się pani handlem, pani Rhodes. Stanie się pani, ni mniej, ni więcej, tylko najzaciejszą kupcową w tym kraju, przede wszystkim dlatego, i to jest najważniejszy powód, że nie ma tu innych, ale i również dlatego, że – jak sądzę – interesy pani pójdą zdumiewająco dobrze.

– Kupcową...? Moje interesy...? – powtarzała zdziwiona kobieta. – Jakie interesy, Kaw-djerze?

– Interesy bazaru Harry’ego Rhodesa. Chyba nie zapomniała pani, że ma wiele przeróżnych rzeczy? Nadszedł czas, aby je zużytkować.

– Ale jak to!?! – zaprotestowała pani Rhodes – Chciałby pan, że-bym ja sama... bez męża...

– Pomogą pani dzieci – przerwał jej Kaw-djer. – Są już w wieku, w którym mogą pracować, a tutaj wszyscy pracują. Nie chcę na Wyspie Hoste’a żadnych próżniaków.

Głos Kaw-djera nabrał zdecydowanych tonów. Spozna przyjaciela udzielającego rady wyrzwał zwierzchnik wydający polecenie.

– Tullia Ceroni z córką – kontynuował – również pani pomogą, gdy tylko Halg wyzdrowieje... Zresztą nie ma pani prawa przetrzymywać bezużytecznie przedmiotów, które mogą się przyczynić do lepszego życia ogółu.

– Ależ te przedmioty to cały nasz majątek! – zaprotestowała pani Rhodes, która wyglądała na mocno poruszoną. – Co powie mój mąż, gdy się dowie, że zaryzykowałam ich przeniesienie w tak niespokojne miejsce, gdzie bezpieczeństwo...

– Jest doskonale – zakończył za nią Kaw-djer. – Jest absolutnie bezpiecznie, może mi pani wierzyć. Nie ma spokojniejszej osady.

– Cóż jednak mam zrobić z tymi wszystkimi towarami? – zapytała pani Rhodes.

– Sprzeda je pani.

– Komu?

– Kupującym.

– Są tacy? Mają więc pieniądze?

– Wątpi pani? Przecież pani wie, że na początku wszyscy je mieli, a teraz zarabiają.

– Zarabiają na Wyspie Hoste'a?

– Jak najbardziej. Pracują na rzecz kolonii, która zatrudnia i płaci.

– A więc kolonia posiada pieniądze...? A to dopiero nowina!

– Kolonia nie ma pieniędzy jako takich – wyjaśnił Kaw-djer – ale je pozyskuje, sprzedając żywność, którą tylko ona dysponuje. Powinna pani coś o tym wiedzieć, skoro też płaci za żywność.

– To prawda – przyznała pani Rhodes. – Ale skoro wszystko odbywa się na zasadzie wymiany, jeżeli koloniści wymieniają swoją pracę na jedzenie, to nie bardzo widzę, w jaki sposób mogliby stać się moimi klientami.

– O to niech panią głowa nie boli, pani Rhodes. Wszystkie ceny sam ustaliłem w taki sposób, by kolonistom pozostawał mały nadatek do zaoszczędzenia.

– A kto pokrywa różnicę?

– Ja, pani Rhodes.

– Jest więc pan aż tak bogaty?

– Jak widać.

Kobieta spojrzała na swego rozmówcę ze zdumieniem. Ten zaś udał, że tego nie widzi.

– Uważam, pani Rhodes – powiedział stanowczo – że pani kram powinien zostać otwarty w jak najkrótszym czasie.

– Jak pan sobie życzy, panie Kaw-djer – zgodziła się bez entuzjazmu.

Pięć dni później polecenie Kaw-djera zostało wykonane. Gdy dwudziestego listopada na pokładzie „Wel-Kiej” powrócił Karroly, kram pani Rhodes działał już pełną parą.

Karroly, po wysadzeniu pana Rhodesa w Punta Arenas, powrócił sam. Nie potrafił więc odpowiedzieć na liczne pytania pani Rhodes, która wobec tego również na próżno zażądała wyjaśnień od Kaw-djera. Ten jednak tylko ją uspokoił, że nie powinna się martwić, a raczej uzbroić w cierpliwość, bo nieobecność jej męża przedłuży się jeszcze na jakiś czas.

Co do Karroly’ego, to on zachwyił się tym, co zobaczył po swoim powrocie. Jakaż zmiana w ciągu jednego tylko miesiąca! Liberia zdawała się nie do poznania. Zaledwie kilka nielicznych domów stało na swoich poprzednich miejscach. Większość została zgrupowana wokół domu, który nazywano „rządowym”. Najbliższe temu centrum było czterdzieści gospodarstw, w których ojcowie rodzin wyposażeni w uzbrojenie z zapasów „Jonathana” stanowili hosteliańską policję. Osiem strzelb pozostających obecnie bez przydziału złożono na posterunku usytuowanym pomiędzy mieszkaniem Kaw-djera a Hartlepoola, gdzie były strzeżone dzień i noc przez zmieniających się ludzi. Co do zapasów prochu, to składowano je w umieszczonym pośrodku rządowego budynku magazynie, do którego nie było bezpośredniego dostępu z zewnątrz.

Nieco dalej otworzono kram Rhodesów. Bazar ten szczególnie zachwyił Karroly’ego. Żaden ze sklepów w Punta Arenas, jedynym miasteczkiem znanym Indianinowi, nie mógł się w jego oczach z nim równać.

Tymczasem po wschodniej i zachodniej stronie osady wciąż trwały roboty. Równano teren pod ostatnie ze składanych domków, a nieco

dalej również pracowano nad wznoszeniem kolejnych domów, czy to z drewna, czy murowanych.

Pomiędzy domami ustawionymi według ścisłego planu, niepozostawiającego miejsca na jakieś indywidualne widzimisię, krzyżowały się pod kątem prostym prawdziwe ulice, wystarczająco szerokie, by minęły się na nich równocześnie cztery pojazdy. Wprawdzie ulice te były jeszcze stosunkowo błotniste i wyboiste, ale z każdym dniem, ubijane stopami kolonistów, stawały się twardsze.

Droga rozpoczęta w kierunku Nowego Miasta przecinała podmokłą równinę i ukośnie dochodziła do rzeki. Tam na brzegach piętrzyły się stosy kamieni przygotowanych do budowy mostu solidniejszego niż obecnie istniejący mostek.

Nowe Miasto stało prawie opustoszałe. Z wyjątkiem czterech marynarzy z załogi „Jonathana” i trzech innych kolonistów, którzy postanowili żyć z połowów, wszyscy jego dawni mieszkańcy przenieśli się do Liberii, dokąd wezwały ich nowe obowiązki. Tak więc Nowe Miasto zamieniło się wyłącznie w rybacki port, skąd codziennie rano wypływały łodzie, by pod wieczór wrócić z połowem ryb, na które łatwo znajdowano amatorów.

Choć jednak zmniejszyła się tu liczba mieszkańców, żaden z domków tego przedmieścia nie został rozebrany. Taka była wola Kaw-djera. Pozostała również siedziba Karroly'ego, i uszczęśliwiony Indianin zastał w niej prawie ozdrowiałego Halga.

Zasmuciło go tylko, że nie było w niej Kaw-djera, nowe życiowe okoliczności rozdzieliły ich bowiem na zawsze. Koniec z dotychczasową wieloletnią zażyłością...! Jakże on się zmienił...! Na widok swego wiernego Indianina na jego wargach zawitał zaledwie cień uśmiechu, a poświęcił mu tylko kilka minut w przerwie jakiegoś ważnego zajęcia...

Tego dnia, jak każdego innego, po pracowitym poranku poświęconym na bieżące sprawy, zbadawszy finansową sytuację kolonii oraz stan zapasów żywnościowych, Kaw-djer ruszył na miejsce budującej się drogi.

Była to pora odpoczynku. Kilofy i motyki leżały rzucone, a większość robotników drzemała na poboczu, wystawiając na słońce swoje

owłosione torsy. Niektórzy z nich się posilali, z rzadka wymieniając kilka słów z towarzyszami. W miarę jak Kaw-djer ich mijał, leżący ludzie podnosili się na jego widok, rozmowy milkły, a w geście uprzejmego powitania uchylały się czapki z głów.

– Witaj, gubernatorze! – mówili kolejno ci prości ludzie.

Kaw-djer, nie zatrzymując się, odpowiadał gestem dłoni.

Przebiegł już tym sposobem z połowę drogi, gdy niedaleko od rzeki dojrzał zgromadzenie około stu osadników, pośród których dało się też rozróżnić kilka kobiet. Przyspieszył kroku. Niebawem doszedł do jego uszy dźwięk skrzypiec dolatujący gdzieś z wnętrza tego tłumku.

Skrzypce...? Po raz pierwszy od śmierci Fritza Grossa na Wyspie Hoste'a rozlegały się dźwięki skrzypiec.

Wmieszał się w tłum, który się przed nim rozstępował. Pośrodku znajdowało się dwoje dzieci. Jedno z nich grało dość niewprawnie na skrzypcach. W tym czasie drugie rozkładało na ziemi koszyki z sitowia i bukiety polnych kwiatów: starce, wrzosy i ostrokrzewy.

Byli to Dick i Sand... Kaw-djer z powodu ostatnich wydarzeń, które tak bardzo nim wstrząsnęły, zupełnie o nich zapomniał. Zresztą dlaczego miałby myśleć więcej akurat o tych niż o pozostałych dzieciach w kolonii? Mieli przecież swoją rodzinę w osobie dzielnego i uczciwego Hartlepoola. Doprawdy, mały Sand nie tracił czasu! Nie minęły nawet pełne trzy miesiące, odkąd odziedziczył skrzypce po Fritzie Grossie i musiał mieć rzeczywiście nadzwyczaj wybitne zdolności muzyczne, by samemu, bez nauczyciela i bez jakichkolwiek wskazówek, dojść do podobnego rezultatu. Nie był wprawdzie wirtuozem i zapewne nigdy by nim nie został, gdyż brakowało mu podstawowej techniki, grał jednak poprawnie i bez większego wysiłku improwizował proste melodie, naiwne, pomysłowe i urocze, które wypływały jedna po drugiej dzięki udatnie obmyślonym przez niego melodyjnym przejściom.

Skrzypce zamilkły, Dick zaś, rozłożywszy swój towar, rozpoczął przemowę.

– Szacowni Hostelianie! – powiedział z komiczną emfazą, prostując, na ile mógł, swą nikłą posturę. – Mój wspólnik wyznaczony

do zajmowania się działem artystycznym i muzycznym firmy Dick and Co., wybitny maestro Sand, nadworny skrzypek Jego Wysokości Króla Przylądka Horn i innych ziem, dziękuje szanownemu zgromadzeniu za uwagę, którą zechciano mu poświęcić...

Dick wydał głośne westchnienie – uff! – nabrał powietrza i gadał dalej:

– Szacowni Hostelianie, koncert jest darmowy, jednak nie dotyczy to innych towarów, które, że ośmielę się tak powiedzieć, są jeszcze piękniejsze, a co najważniejsze – jeszcze solidniejsze! Firma Dick and Co. oferuje na sprzedaż te oto bukiety i koszyki. Przydadzą się bardzo podczas wizyty na targu... gdy taki będzie na Wyspie Hoste'a. Cent za wiązanek kwiatów! Cent za koszyk...! Dalej, szanowni Hostelianie! Sięgnijcie ręką do kieszeni, bardzo was proszę...!

Wygłaszając te słowa, Dick obchodził wokół zgromadzonych, prezentując przykładowy zestaw towarów, a tymczasem dla podgrzania atmosfery znów rozległy się przyjemne dźwięki skrzypiec.

Widzowie śmiali się rozbawieni, a z ich uwag Kaw-djer wynioskował, że już nie po raz pierwszy biorą udział w podobnym przedstawieniu. Dick i Sand z pewnością nieraz przebiegali budowy w czasie pory odpoczynku, uprawiając swój swoisty handelek. Jakim cudem ich dotąd nie zauważył?

Tymczasem Dick dosłownie w mgnieniu oka sprzedał wszystkie bukiety i koszyki.

– Panowie i panie! Został tylko jeden koszyk! – oznajmił Dick. – Za dwa centy, ten największy i najładniejszy!

Jakaś gospodyni domowa zapłaciła mu dwa centy.

– Dziękuję, bardzo dziękuję, panowie i panie! Osiem centów! To prawdziwa fortuna...! – wołał Dick, robiąc pierwszy krok do giga¹.

Jednak taneczne pas zostało raptownie przerwane, Kaw-djer bowiem pochwycił tancerza za ucho.

– Co to ma znaczyć? – zapytał surowo.

Sprytny dzieciak jednym rzutem oka ocenił prawdziwe intencje Kaw-djera i uspokojony w tym względzie odparł poważnie:

¹ *Giga* – żywy taniec ludowy w takcie trójkowym, popularny w Anglii i Szkocji w XVI i XVII wieku, do dziś tańczony w Irlandii; także żywy utwór muzyczny.

– Pracujemy, panie gubernatorze.

– To nazywasz pracą?! – zawołał Kaw-djer, puszczając małego więźnia.

Ten natychmiast odwrócił się przodem do Kaw-djera i popatrzył mu prosto w oczy.

– Zarabiamy – rzekł, prostując się. – Sand gra na skrzypcach, a ja sprzedaję kwiaty i koszyki. Niekiedy podejmujemy się zleceń... albo sprzedajemy muszle... Ja potrafię też tańczyć i robić różne sztuczki... To także są zajęcia, panie gubernatorze!

Kaw-djer uśmiechnął się wbrew sobie.

– Rzeczywiście – przyznał. – Ale do czego są wam potrzebne pieniądze?

– Dla pańskiego rachmistrza Johna Rame’a.

– Co takiego?! – zawołał Kaw-djer – To John Rame bierze od was pieniądze?

– On nam ich nie bierze, panie gubernatorze – odparł Dick – zważywszy na to, że sami mu je dajemy jako zapłatę za żywność.

Tym razem Kaw-djer był całkiem oszołomiony.

– Za żywność? – powtórzył. – Płacicie za waszą żywność?! A więc nie mieszkanie u Hartlepoola?

– Mieszkamy, panie gubernatorze, ale cóż z tego...

Tu Dick wydał policzki, do złudzenia naśladowując samego Kaw-djera, i pomimo dzielącej ich rangi, rzekł z nieubłaganą powagą:

– Praca jest prawem!

Śmiać się czy gniewać...? Kaw-djer wybrał to pierwsze. Zresztą nie musiał się wahać. Dick nie zamierzał szydzić. Przy tym, dlaczego miałby potępiać tych dwoje dzieci, tak energicznych, tak zaradnych, podczas gdy tylu ich rówieśników zdawało się wyłącznie na innych.

Zapytał więc:

– A czy ta wasza „praca” przynosi wam przynajmniej tyle, by się utrzymać?

– Oczywiście! – pewnie przytaknął Dick. – Dwanaście, a czasami nawet piętnaście centów dziennie, oto co nam przynosi, panie gubernatorze...! Z tym już człowiek może wyżyć – dodał najpoważniej w świecie.

Zgromadzeni wybuchnęli śmiechem na owego „człowieka”. Obrażony Dick popatrzył na rozbawiony tłum.

– Czegóż chcą ci idioci...?! – zamruczał przez zęby rozdrażniony.

Kaw-djer powrócił do poprzedniej rozmowy.

– Piętnaście centów to w istocie nieźle – przyznał. – Moglibyście jednak zarobić więcej, gdybyście pomagali murarzom lub brukarzom.

– Niemożliwe, panie gubernatorze – odparł Dick żywo.

– Dlaczego niemożliwe? – nalegał Kaw-djer.

– Sand jest za mały, nie miałby siły – wyjaśnił Dick, którego głos wyrażał prawdziwą troskę, bez cienia lekceważenia.

– A ty?

– Och...! Ja...

Trzeba było słyszeć ten ton...! On oczywiście podołałby wszystkiemu. Wątpić o tym byłoby dla niego obelgą.

– A więc?

– Nie wiem... Ta praca do mnie nie przemawia... – wybąkał zamysłony Dick, po czym gwałtownie dorzucił: – Ja, panie gubernatorze, kocham wolność!

Kaw-djer z zainteresowaniem przyglądał się temu chłopcu, który z odkrytą głową, z włosami potarganymi przez wiatr, stał przed nim wyprostowany, a w jego niespuszczonych oczach gorzał blask. Rozpoznawał samego siebie w tej naturze szlachetnej, lecz zarazem gwałtownej. Przecież on także ponad wszystko ukochał wolność, i on z niecierpliwością przyjmował wszelkie przeszkody, przymusu zaś tak dalece nienawidził, że swoje własne wątpliwości rozciągnął na całą ludzkość. Dopiero doświadczenie pokazało mu, że się mylił, dając mu dowód, że ludzie bynajmniej nie odczuwają nienasyconej potrzeby wolności, którą im przypisywał, a przeciwnie, potrafią pokochać jarzmo pozwalające im żyć, i że czasami dobrze jest, gdy duże dzieci i małe dzieci mają swego pana.

Odpowiedział więc:

– Wolność, mój chłopcze, najpierw trzeba sobie zdobyć, stając się użytecznym dla innych i dla siebie samego, a zacząć należy od posłuszeństwa. Idźcie do Hartlepoola i powiedzcie mu, że to ja was przysy-

łam, by zatrudnił was odpowiednio do waszych sił. Ja zaś przypilnuję, by Sand kontynuował naukę muzyki. Idźcie już, dzieci!

Spotkanie to zwróciło uwagę Kaw-djera na problem, który również należało rozwiązać. W kolonii roilo się od dzieci! Bezczyenne, pozbawione opieki rodziców, od rana do wieczora się wałęsały. By stworzyć nację, należało przygotować także przyszłe pokolenia, które podejmą kiedyś dziedzictwo swoich przodków. Zorganizowanie szkoły stało się pilną potrzebą.

Ale przecież nie dało się zrobić wszystkiego naraz. Bez względu na wagę tej sprawy, przełożył ją do swego powrotu z głębi wyspy, dokąd zamierzał wyruszyć. Odkąd objął władzę, nosił się ciągle z myślą o podróży, której realizację odkładał z dnia na dzień wobec pilniejszych zajęć. Teraz jednak mógł się już spokojnie oddalić. Maszyna została wystarczająco pewnie puszczona w ruch, by przez jakiś czas mogła funkcjonować sama.

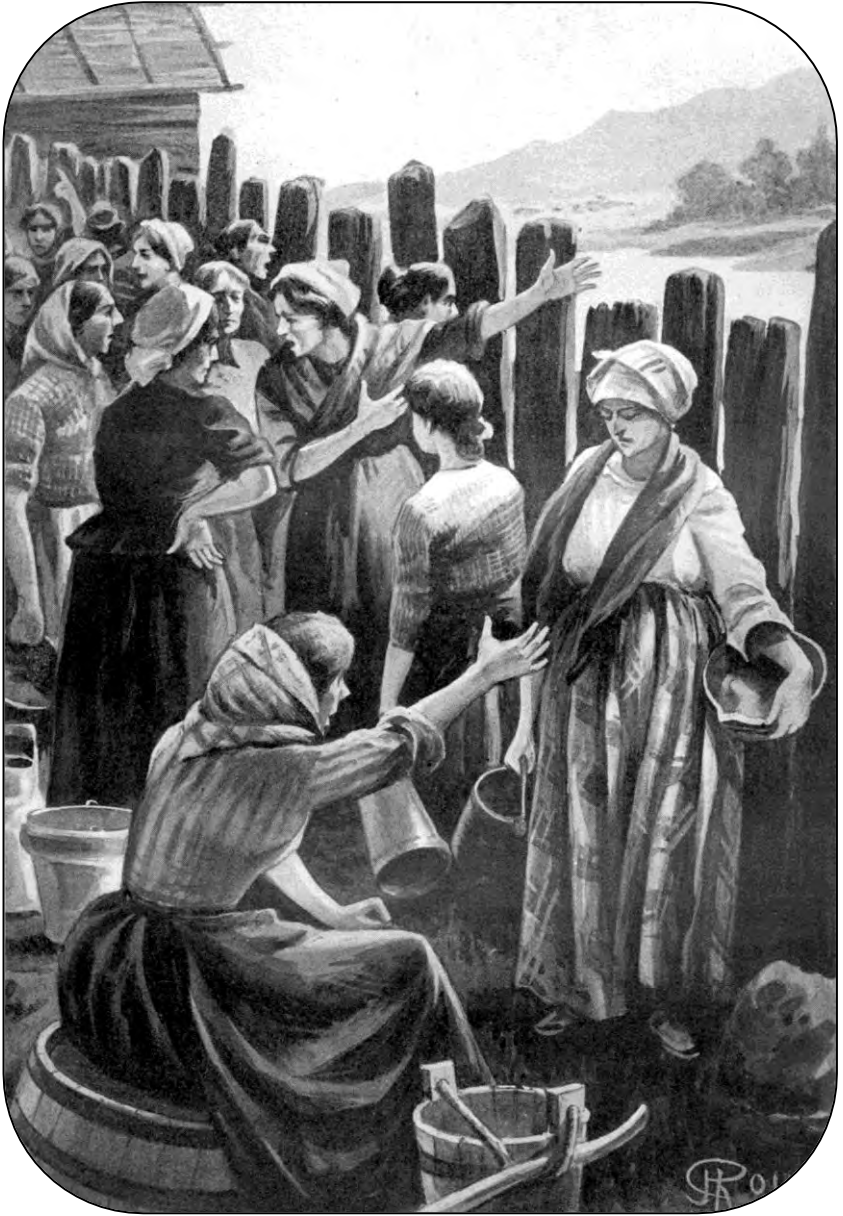
Dwa dni po powrocie Karroly'ego zamierzał w końcu wyruszyć, gdy znowu coś mu przeszkodziło. Pewnego ranka doszły do niego odgłosy gwałtownej sprzeczki. Poszedł w stronę, skąd dochodził hałas, i natrafił na setkę dyskutujących ze wzburzeniem kobiet, stojących przed ogrodzeniem z potężnych bali, które zagradzało im drogę. Z początku Kaw-djer nie potrafił zrozumieć, o co chodzi. Ogrodzenie to otaczało granice posiadłości Pattersona, lecz nie wydawało mu się, by wcześniej sięgało aż tak daleko.

Jednak zaraz go o wszystkim poinformowano.

Patterson, który od ostatniej wiosny zajmował się uprawą warzyw, tego roku odniósł w tej mierze prawdziwy sukces. Pracując niezmiernie ciężko, doczekał się obfitych plonów, a od upadku Beauvala wszyscy mieszkańcy Liberii zaopatrywali się u niego w świeże jarzyny.

Powodzenie swoje zawdzięczał w znacznym stopniu miejscu, jakie wybrał na swą siedzibę. Nad samym brzegiem rzeki miał pod dostatkiem wody. Teraz zaś to uprzywilejowane położenie jego gospodarstwa stało się zarzewiem obecnego konfliktu.

Uprawy Pattersona rozciągały się na przestrzeni dwustu lub trzystu metrów i zajmowały jedyne dostępne miejsce nad rzeką w bezpośrednim sąsiedztwie Liberii. W jej dolnym biegu błotnista równina



Natrafił na setkę dyskutujących ze wzburzeniem kobiet,
stojących przed ogrodzeniem z potężnych bali.

ciągnęła się aż do mostu zbudowanego przy ujściu, to jest przeszło tysiąc pięćset metrów na zachód. W górnym zaś jej biegu brzeg podnosił się raptownie, opadając prosto do wody prostopadłym urwiskiem, i to przez więcej niż milę.

Liberyjskie gospodynie musiały więc przechodzić przez zagrodę Pattersona, gdy chciały zaczerpnąć wody potrzebnej w ich domowych gospodarstwach. Dlatego też właściciel terenu wcześniej pozostawił otwór w swoim płocie. Z czasem jednak spostrzegł, że nieustanne przechodzenie przez jego ogród narusza jego prawa i powoduje liczne szkody. Poprzedniej więc nocy z pomocą Longa solidnie zamknął dotychczasowe wejście. To właśnie wywołało ogromne rozżalenie i gniew kobiet, które z samego rana przyszły po wodę.

Pojawienie się Kaw-djera uspokoiło nastroje. Zdano się na jego osąd. Ten w spokoju wysłuchał argumentów obu stron, a następnie wydał wyrok. Ku ogólnemu zdumieniu decyzja, jaką podjął, była na korzyść Pattersona! Wprawdzie Kaw-djer uznał, że płot ma być natychmiast zwalony i że musi tamtędy przechodzić publiczna droga o szerokości dwudziestu metrów, lecz przyznał również właścicielowi terenu prawo do odszkodowania za uprawną parcelę, której części pozbawiano go w interesie ogółu. Co do wysokości odszkodowania miało ono zostać ustalone zgodnie z przyjętymi zasadami. Na Wyspie Hoste'a znajdowali się sędziowie, i Patterson miał się do nich zwrócić.

Sprawa trafiła na wokandę jeszcze tego samego dnia i była pierwszą, jaką rozsądził Beauval. Po wysłuchaniu obu stron wydał wyrok, że państwo hosteliańskie ma wypłacić odszkodowanie w wysokości pięćdziesięciu dolarów. Kwota ta została natychmiast przekazana Irlandczykowi, ku jego wielkiemu zadowoleniu.

Wydarzenie to było komentowane na różne sposoby, jednak w sumie rozwiązanie sprawy przyjęto z uznaniem. Przekonano się, że odtąd nikt nie może zostać bezprawnie pozbawiony tego, co posiada, tak więc zaufanie publiczne niepomniernie wzrosło. Był to właśnie taki rezultat, jakiego oczekiwał Kaw-djer.

Po załatwieniu tej sprawy wyruszył wreszcie w drogę. Przez trzy tygodnie przemierzał wyspę we wszystkich kierunkach, docierając

w najdalszy punkt na północnym zachodzie, jak również do najdalej wysuniętych półwyspów od wschodu, jak Dumas i Pasteur. Jedno po drugim odwiedził wszystkie bez wyjątku gospodarstwa, nawet te opuszczone ubiegłej zimy czy to dobrowolnie, czy pod naciskiem na-pastników.

Przekonał się, że stu sześćdziesięciu jeden kolonistów, tworzących czterdzieści dwie rodziny, przebywało jeszcze w głębi wyspy. Wszystkie te czterdzieści dwie rodziny cieszyły się dobrobytem, choć w zróżnicowanym stopniu. Jedni bowiem ograniczyli swoje ambicje do zapewnienia przyzwoitej codziennej egzystencji sobie i swoim rodzinom, podczas gdy inni, przede wszystkim rozporządzający siłą mięśni krzepkich młodzieńców, potrafili potężnie rozwinąć swoje gospodarstwa.

Dalej, dwadzieścia osiem rodzin, w ogólnej liczbie stu siedemnastu kolonistów zmuszonych z powodu zamieszek do porzucenia swoich zagród, teraz bardzo podupadłych, które w momencie, gdy je opuszczano, zdawały się kwitnące.

Wreszcie miało miejsce sto dziewięćdziesiąt siedem prób zagospodarowania, które zakończyły się porażką. Spośród ich właścicieli około czterdziestu nie żyło, pozostali zaś, w liczbie przeszło siedmiuset osiemdziesięciu, zimą kolejno szukali pomocy na wybrzeżu.

Kaw-djer nie mógł narzekać na brak informacji. Koloniści jeden przez drugiego oferowali mu swoje usługi. Z powszechnym entuzjazmem przyjęto wieść o nowej organizacji kolonii, a entuzjazm ten tylko rósł, w miarę jak Kaw-djer przedstawiał swoje zamierzenia. Gdy odszedł, podjęli pracę z gorliwością dziesięciokrotnie zwiększoną przez nadzieję.

Wszystko, co widział, wszystko, co usłyszał, Kaw-djer pilnie notował. Równocześnie starał się choć w ogólnym zarysie naszkicować plany poszczególnych kolonii oraz ich wzajemnego położenia.

Zapiski te wykorzystał zaraz po powrocie. W ciągu kilku dni narysował mapę wyspy, niezbyt dokładną z geograficznego punktu widzenia, ale z dokładnością wystarczającą dla przedstawienia eksploatacji gospodarczej i granic pomiędzy posiadłościami. Następnie ponownie objechał połowę wyspy, odwiedzając sto sześćdziesiąt pięć

rodzin, które wybrał w sposób niepodlegający dyskusji, i wręczył im oficjalne koncesje.

Nadanie prywatnej własności solidnej podstawy w postaci koncesji stanowiło prawdziwą rewolucję. Dorywczy porządek zastępowało porządkiem prawnym, posiadanie prawem kaduka zamieniało w akt własności, niepodważalny nawet przez tego, który je nadał. Tak więc zwyczajne kartki papieru były przyjmowane przez ich beneficjentów z równą radością, jak sama ziemia, którą reprezentowały. Do tej pory żyli z dnia na dzień, w niepewności jutra. Owe papierki zmieniały wszystko. Teraz ziemia była ich własnością. Mogli ją przekazać swoim dzieciom. Osiedlili się, zapuszczali korzenie i z kolonistów naprawdę stawali się Hostelianami.

Kaw-djer zajął się przede wszystkim umocnieniem praw czterdziestu dwóch rodzin, które już wrosły w swoje folwarki, stawiając w nich siedziby. Odesłał też dwadzieścia osiem rodzin z powrotem na gospodarstwa, które musiały opuścić pod groźbami warcholów. Następnie spośród wszystkich pozostałych wybrał jeszcze dziewięćdziesiąt pięć rodzin, które wydały mu się godne wspomnienia. Innymi już się wcale nie zajmował.

Był to czyn samowładny i zresztą nie jedyny. Tak jak nie było mowy o równości podczas rozdzielania koncesji, nie była ona też stosowana przy wyznaczaniu ich granic. Jednym Kaw-djer przydzielił w całości użytkowany od początku teren, innym go zmniejszył. Równocześnie jeszcze innym dołożył znaczne obszary. Podczas tych wszystkich manipulacji kierował się tylko jednym prawem – wyższym interesem kolonii. Tym, którzy wykazali się większą inteligencją, siłą i dzielnością, przydzielił najrozleglejsze koncesje. Przeciwnie, niczego nie dostali ci, których uznał za niezdolnych, i tym sposobem nieodwołalnie uczynił z nich proletariuszy oraz najemników aż po kres ich dni.

Zresztą praca najemna siłą rzeczy musiała się pojawić na Wyspie Hoste'a. Już te kilka kolonii, jak na przykład utworzone przez cztery rodziny z Rivière'ami na czele, były tak rozległe i tak kwitnące, że śmiało mogłyby zatrudnić nawet kilkuset robotników. Pracy zatem

nie brakowało dla tych, którzy ponad zajęcia miejskie woleliby pracę na polu.

Liberia po raz drugi się wyludniła. Każdy obdarowany z koncesją w kieszeni, a z nim wszyscy jego bliscy, ruszał na swoje. Każdy do-
brze zaopatrzony w żywność, której dostawy miano – jak obiecywał Kaw-djer – uzupełnić. Za nimi zaś podążali ci, których nie obdaro-
wano, lecz postanowili wynająć siłę swych mięśni do wiejskich prac.

Dziesiątego stycznia w Liberii pozostało już tylko około czterystu
mieszkańców, z czego dwustu pięćdziesięciu ludzi w wieku zdolnym
do pracy. Inni, a więc nieco mniej niż sześćset osób, w tym oczywiście
kobiety i dzieci, byli w tej chwili porzuceni po wyspie. Tak więc,
jak Kaw-djer mógł się przekonać podczas swojego wypadu, całkowita
liczba ludności na wyspie nie przekraczała nawet tysiąca. Wszyscy
ponad ten stan, którzy niegdyś tu żyli, byli martwi, przede wszystkim
dwieście osób zmarłych podczas ostatniej zimy. Jeszcze parę podob-
nych hekatomb¹ i Wyspa Hoste'a zamieni się w pustynię.

Nagły ubytek rąk do pracy odbił się spowolnieniem rozpoczę-
tych robót. Jednak Kaw-djer nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego.
Szybko zrozumiano, skąd ten spokój. Kilka dni później, siedemnaste-
go stycznia, na wprost Nowego Miasta rzucił kotwicę parowiec. Był
to spory statek o wyporności dwóch tysięcy ton. Nazajutrz od rana
rozpoczęto jego wyładunek i zachwyceni liberyjczycy patrzyli na
strumień spływających z niego niezliczonych bogactw. Tak więc było
to przede wszystkim bydło, owce, konie, a nawet dwa psy pasterskie.
Następnie wyposażenie rolnicze: pługi, brony, młocarnie, przetrzą-
sacze do siana, wszelkiego rodzaju nasiona, znaczne zapasy żywności,
fury i wozy, metale, jak ołów, żelazo, stal, cynk, cyna i tak dalej, drob-
ne narzędzia, jak młotki, piły, rylce, piłki i wiele innych, obrabiarki
do drzewa i metalu, wiertarki, kowadła i wiele innych rzeczy.

Ponadto parowiec przywiózł nie tylko te materialne dobra. Na
jego pokładzie przyplęnęło bowiem jeszcze dwustu ludzi, w połowie
robotników ziemnych, a w połowie robotników stoczniowych. Po za-

¹ *Hekatomba* – składana bogom ofiara ze stu sztuk bydła, w przenośni każda inna obejmująca wiele zwierząt czy ludzi.

kończeniu wyładunku dołączyli do kolonistów, a prace wykonywane teraz przez czterystu pięćdziesięciu chłopów na schwał mocno przyspieszyły.

Droga do Nowego Miasta została ukończona w kilka dni. Podczas gdy część murarzy zajęta było budową mostu, druga zaś budową domów, brukarze zaczęli pracę koło budowy nowej drogi wiodącej w głąb wyspy. Droga ta, z wieloma odnogami, miała wic się później pomiędzy gospodarstwami, ożywiając całą wyspę niczym arterie i żyły pobudzające do życia to wielkie, dotąd bezwładne ciało.

Ale to nie był jeszcze koniec niespodzianek dla liberyjczyków. Trzydziestego stycznia pojawił się drugi parowiec. Przyłynął z Buenos Aires, a w swoich ładowniach – prócz przedmiotów podobnych jak na poprzednim statku – przywiózł olbrzymi ładunek przeznaczony dla bazaru Rhodessa. Było tam dosłownie wszystko, aż po najmniejsze drobiazgi: piórka, koronki, wstążki, w które odtąd mogły się stroić hosteliańskie kokietki.

Z drugiego parowca wysiadło także dwustu robotników, a potem jeszcze raz dwustu z trzeciego, który rzucił kotwicę na redzie piętnastego lutego. Począwszy od tego dnia, dysponowano ponad ośmiuset robotnikami. Kaw-djer uznał tę liczbę za wystarczającą, by rozpocząć swój wielki projekt. Na zachód od ujścia rzeki położono pierwsze podwaliny grobli, która w przyszłości miała zamienić małą zatoczkę przy Nowym Mieście w rozległy i bezpieczny port.

Tak stopniowo, wskutek wysiłków tych kilkuset ramion kierowanych jedną wolą, budowało się, oczyszczało, ożywiało, słowem: powstawało miasto, które powoli wyłaniało się z nicości.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!